

*Wzrost pisma St. J. u. et. konceptu
v Siedlence.*

SŁOŃ ELEKTRYCZNY

Z CZESKIEGO OPRACOWAŁ

Antosz

WYDANIE TRZECIE

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE



573

ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3

1914

Rodzina fabrykanta.

Pan James (Dżems) Cobarth, właściciel fabryki maszyn elektrycznych w Oksfordzie, był synem zamożnego przemysłowca z Londynu. Ojciec jego dobrze wychował swe dzieci: od małego zachęcał je do pilności w naukach, obrzydzał lenistwo i przyuczał do pracy, w czym sam dawał im przykład najlepszy, bo ani chwili nie próżnował.

James i młodszy brat jego, Wiljam, skończyli średnie, a następnie wyższe szkoły w Londynie, poczym każdy z nich obrał sobie inną drogę. Starszy, za przykładem ojca, postanowił zostać przemysłowcem; młodszy niezmiernie zamiłowany w naukach, szczególnie w geografji, historii, etnografji i archeologii, obrał sobie zawód uczonego.

— Niech każdy z was, drodzy synowie, idzie za swym powołaniem — rzekł im ojciec, skoro mu oznajmili, w jakich kierunkach chcą pracować — aby tylko każdy na swym stanowisku pamiętał, co winien Bogu, bliźnim i ojczyźnie, aby nigdy brudny postępек nie splamił uczciwego dotąd imienia Cobarthów, abym się nie potrzebował za was wstydzić, ale mógł chlubić się wami!

Długo jeszcze obaj młodzieńcy rozmawiali z rodzicami o swej przyszłości.

— Ty, Jamesie, przyczynisz się do rozwoju krajowego przemysłu, bo otrzymawszy uniwersyteckie wykształcenie, jesteś daleko lepiej przygotowany, niżeli ja,

który własnym doświadczeniem musiałem zdobywać wiedzę. Ty zaś, Wiljamie, mając zamiłowanie w nauce, możesz śmiało poświęcić się jej, gdyż część mego majątku, jaka na każdego z was przypadnie, dozwoli ci swobodnie pracować bez ciężkiej pracy na utrzymanie. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że trudy uczonego materiałnie prawie nigdy się nie cplacają; uczony zwykle zawsze zbiera dla przyszłych pokoleń, które kiedyś dopiero ocenić go mogą. Zawód ten zapewnia więc tylko wewnętrzne zadowolenie.

— Cieszy mię to — wtrąciła matka, — że się kierujecie bardziej upodobaniem w obraniu zajęcia, nie, jak się często zdarza, chęcią zysku, ale zarazem martwi mię, że się musicie rozdzielić. Przykro wam będzie rozstawać się ze sobą, a cóż dopiero mówić o nas, rodzicach!

— Kochana mamó, nie trzeba się naprzód martwić bez powodu: możemy przecież osiąść w jednym mieście. Jeszcze w uniwersytecie układaliśmy sobie z Jamesem, jak się urządzimy: obaj udamy się na kilka lat w podróż — on, aby набrać doświadczenia w swym fachu, ja aby nabierać materiałów i naocznie przeprowadzić badania, potrzebne mi do prac samodzielnych. Choć będziemy daleko, nie omieszkamy przysyłać wam częstych wiadomości o sobie i pisywać do siebie wzajemnie — pocieszał Wiljam matkę.

— Nie bój się, mateczko, odległość nie tylko nie wpłynie na oziębienie naszych serdecznych stosunków, lecz przeciwnie, tęsknota wzmocni je jeszcze — uspokajał ją James.

W parę dni po tej rozmowie młodzi Cobarthowie byli gotowi do wyjazdu z domu, bo chociaż u rodziców było im bardzo dobrze, chęć pracy i czynu nie dawała im spokoju.

James, wiedząc, jak ważną rolę gra w przemyśle siła elektryczna, wybrał sobie dział elektrotechniczny i udał się na praktykę najpierw do miast angielskich, a potem w podróż na ląd stały. Przebywał kolejno we

Francji, Niemczech i Belgji, a następnie popłynął do Ameryki, aby zaczerpnąć wiedzy w ogniskach wielkiego przemysłu Nowego Świata, w Nowym Jorku, Chicago, San Louis.

Będąc bardzo zdolnym, uważnym i pracowitym, przyswoił sobie w krótkim stosunkowo czasie tyle wiadomości, że mógł już samodzielnie prowadzić fabrykę.

Ponieważ ojciec przez czas pięcioletniej jego nieobecności podupadł na zdrowiu i lekarze radzili mu spędzać zimę na południu Francji — matka wezwała syna do kraju, aby objął zarząd interesów.

Posłuszny James natychmiast powrócił do Londynu i niezwłocznie zabrał się do pracy.

Za porozumieniem się z rodzicami sprzedał fabrykę ojca w Londynie i założył w Oksfordzie własną fabrykę, wyrabiającą wszelkiego rodzaju maszyny elektryczne, telefony, mikrofony, fonografy; zabezpieczył na niej majątek rodziców i udział brata, Wiljam bowiem pieniężnymi sprawami zajmować się nie mógł, bo cały czas jego pochłaniały studia naukowe i podróże w ich celach podejmowane.

I on, tak, jak i brat, zwiedził całą Europę w celu przyjrzenia się życiu mieszkańców, oraz wstępował do miast, posiadających bogate biblioteki, z których mógł czerpać materiały do swoich prac. Takim sposobem był w Paryżu, Wiedniu, Rzymie, Pradze i Warszawie. Następnie udał się do Egiptu, gdzie zamierzał przeprowadzić badania nad trybem życia pierwotnych jego mieszkańców.

Przez cały przeciąg pięciu lat raz tylko był w domu, aby odwiedzić rodziców, tak go pochłaniała praca, odległość zaś od kraju utrudniała przyjazd.

Otrzymawszy wiadomość o chorobie ojca i powrocie brata, Wiljam pośpieszył także do Anglii.

Spotkanie braci było bardzo serdeczne, a powitanie rodziców radosne, tymbardziej, że stan zdrowia ojca cokolwiek się polepszył.

Podczas pobytu w domu bracia po tak długim niewidzeniu nie mogli się z sobą nagadać, opowiadali sobie o przebytych przygodach, wykonanych pracach i zwierzali się ze swemi planami na przyszłość.

Wiesz co, Wilu—mówił James—słuchając o twych badaniach nad walkami króla Pyrrusa z Rzymianami, przyszedł mi pomysł do głowy, może błędny, ale kto wie, czy też i niemożliwy do urzeczywistnienia. Czy nie dałby się skutecznie nasz plan dziecinny: pobicia wielkiego wojska małą siłą.

— Cóż za rolę w tym gra mój król Pyrrus, przecież on miał siły równe Rzymianom, a przewyższał ich tylko tym, że pierwszy wprowadził na pole bitwy słonie—rzekł Wiljam.

— Właśnie o te słonie mi chodzi. Wiesz—słoń, słoń elektryczny, jak ci się zdaje?

— Nie rozumiem cię, tłumacz się jaśniej, ty mój elektrotechniku—nie zapominaj, że nie masz przed sobą skończonego inżyniera, lecz niedołęznego historyka, który w swych studjach jest dopiero w epoce 22 dynastji egipskiej i chyba nigdy nie dojdzie do czasów pary i elektryczności.

Żartuj zdrów! Czyż nie pamiętasz, jak, będąc na wakacjach po skończeniu gimnazjum, obaj z jednako-
wym zapalem robiliśmy plany nad uszczęśliwieniem ludzkości? Jak oburzeni na łupiestwo ludów silniejszych, które dręczyły słabsze, choć narody oświecone i inteligientne, znęcały się potym nad niemi? Jak, przejęci losem nieszczęsnym uciśnionej Irlandji, byliśmy z największą chęcią pośpieszyli jej z pomocą przeciw własnym współrodakom, których niesprawiedliwe postępowanie nas oburzało? Teraz tłumaczmy je sobie potrzebą polityczną—dawniej, sami niewinni, nie akceptowaliśmy podwójnej miary uczciwości, innej dla siebie, innej dla bliźniego. Prawdę powiedziałwszy, i dziś tego nie pojmuje—a znoszę te stosunki, bo muszę. Ale gdyby tak np. uciśniona Grecja w ostatniej wojnie wy-

stawiała była przeciw Turcji kilkanaście elektrycznych słoń. Co ty o tym sądzisz?

— Przedewszystkim odpowiem ci, że się na tym nie znam. Trzebaby wynalazek ten urzeczywistnić, wypróbować, a to twoja rzecz, mój bracie. Ja zaś, który zbadałem historję setek wojen, w jakich wyginęły nieprzeliczone tysiące ludzi — z zasady jestem wrogiem wszelkiego oręża, głosując za pokojem powszechnym.

— Zgadzam się z tobą, ale nim ludzkość stanie na tym stopniu cywilizacji, radbym jeszcze przyczynić się do tego, aby tych silnych i niesprawiedliwych nauczyć rozumu.

— Szczęść Boże! W każdym razie o rezultacie prób donoś mi w listach.

Nacieszywszy się razem parę tygodni, Wiljam pożegnał brata i wyjechał z rodzicami, którym towarzyszył aż do Nizy, gdzie ojciec miał przebyć zimę, następnie przez Algier udał się do Egiptu.

Zmartwienie Jamesa.

Przy budowie nowej fabryki, a potem przy puszczeniu jej w ruch, James miał tyle zajęcia, że zbrakło mu nieraz czasu na odczytywanie wszystkiej nadchodzącej korespondencji, dlatego wydział ten sprawował jego sekretarz Clark. Odbierał on wszystkie listy pisane w interesie i osobiste do Jamesa. Gdy te ostatnie oddawał w całości, w pierwszych podkreślał tylko główną treść czerwonym ołówkiem, aby panu Cobarthowi ułatwić ich przeglądanie.

Do wykonania planów i prowadzenia robót James wezwał Polaka, inżyniera Starlewskiego, którego poznał podczas swojej praktyki w New-Jorku, gdzie obaj, choć wykwalifikowani teoretycznie, pracowali jako prości robotnicy. Starlewski był bardzo zdolny i pomysłowy,

zrobił też kilka wynalazków, które przyczyniły się do ulepszenia niektórych maszyn.

Ponieważ James żył ze Starlewskim po koleżeńsku, ten nie miał przed nim tajemnic: razem roztrząsali nowe pomysły, przeprowadzali próby, zastosowywali je w praktyce.

Ten sam stosunek pozostał między niemi, choć Starlewski objął u Cobartha posadę.

Nieraz, gdy siedzieli i radzili nad czym, lub zabawiali się w wolnej chwili grą w szachy, James mówił:

— O ile jestem szczęśliwszy od Wiljama, gdy mam w panu przyjaciela, podczas gdy mój brat wciąż jest otoczony obcemi, a często nawet wprost wrogimi sobie ludźmi. Myśląc o nim, doprawdy nieraz nie mam chwili spokoju.

— Et, troszczy się pan o brata, jakby on był nieletni. Tyle czasu podróżuje i daje sobie radę, przecie nie on pierwszy przechodzi różne przygody — uspokajał go Starlewski, a chcąc zwrócić rozmowę na inny przedmiot, dodał:

— Ale co też pan powie na mój miniaturowy motor elektryczny?

— Plan wyborny i aby tylko wykonanie się udało, to mógłby mieć szerokie zastosowanie. Wiesz pan, prorokuję panu, że zrobisz na nim majątek i urzeczywistnisz swoje marzenia powrotu do kraju i wystawienia fabryki w rodzinnym miasteczku, czym przyczynisz się naturalnie do podniesienia dobrobytu współobywateli. Śliczne, choć dalekie projekty. O jakżebym rad, żeby się spełniły.

— Ale jak mnie byłoby trudno rozstać się z przyjacielem i moją prawą ręką!

— Miejmy nadzieję, że do tego czasu powróci pan Wiljam — zakończył inżynier, podając Cobarthowi rękę na dobranoc.

Nazajutrz rano James, przyszedłszy do gabinetu, zaraz podszedł do telefonu.

— Proszę wezwać pana Clarka.

.

— Dzień dobry! Czy poczta nadeszła?

.

— Niema listów osobistych?

.

— Może wiadomości od Wiljama?

.

— Bądź pan łaskaw pofatygować się z nią do mnie.

Za chwilę wszedł sekretarz.

— Właśnie wybierałem się do pana z relacją, gdy zostałem wezwany do telefonu — rzekł Clark po zwykłym powitaniu.

— Jestem bardzo zakłopotany, więc nie dziwi to pana pewnie, że się niecierpliwię.

— Oto depesza od państwa Cobarthów — rzekł Clark, podając ją.

— Chwała Bogu, że ojciec czuje się dobrze, pocziwa matka o sobie nic nie donosi, nie dba już o siebie, zajęta stanem zdrowia chorego. Bądź pan łaskaw wysłać odpowiedź z zapytaniem, jak się ma matka.

Od Wiljama już ósmy tydzień niema ani litery, dotąd tak regularnie 1 i 15 każdego miesiąca przysyłał wiadomości o sobie, a tu czwarty termin już mija daremnie.

— Może pan Wiljam jest gdzie w okolicy znacznie oddalonej od poczty — wtrącił sekretarz.

— Ach, przecież nieraz radził sobie skutecznie w takich razach. Obawiam się, czy mu się co złego nie przytrafiło. Dotąd udaje mi się usnąć czujność ro-

dziców, przesyłając im zmyślone wieści o Wiljamie. Ale czy ja wiem, jak to długo potrwa? tymbardziej wobec polepszenia zdrowia ojca, oboje rodzice mogą się opamiętać i żądać od brata wiadomości bezpośrednich. Gdyby co wypadkiem w ciągu dnia nadeszło, nie czekaj pan raportu, lecz przyślij mi natychmiast.

W parę dni potym przyszedł przewidywany list od rodziców, w którym dopominali się wiadomości, pochodzącej wprost od Wiljama, jednocześnie nadmieniali, iż mają mu to za złe, że pisuje tylko na ręce brata.

... Zapomina o ojcu, a chorego to bardzo drażni... — kończyła matka.

Narada nad wyprawą.

Nie mam ani chwili czasu do stracenia, jeśli nie chcę narażać dłużej już nietylko brata, ale i zdrowie ojca na niebezpieczeństwo. Muszę rozpocząć poszukiwania osobiście, bo przez posły wilk nie syty — mówił James do Starlewskiego.

— Co pan zamyśla?

— Wysłałem depeszę do Algieru, skąd był stempel na ostatnim liście, do konsulatu angielskiego, aby zebrano wiadomości o mym bracie, który tam przebywał przed dwoma miesiącami; skoro odpowiedź nadejdzie...

— To?...

— Zastosuję się do jej treści i nie cofnę się nawet przed wyjazdem.

— Czy nie możnaby dalej poszukiwać po wskazanych śladach drogą urzędową? — wyjazd pański w obecnym czasie powstrzyma bieg interesów i rozpoczęte nasze próby ze słoniem.

— Muszę wybierać wóz lub przewóz. Ustanowię zarząd nad biegiem prac fabrycznych, złożony z ludzi

godnych zaufania. Co do słonia, to może wypadnie go nam próbować w naturalnej wielkości aż w Afryce, gdzieby nam mógł oddać wielkie usługi, na wypadek mogącej się zdarzyć potrzeby. Ale w tym pomoc pańska będzie mi bardzo potrzebną; czy nie odmówisz mi jej, panie Starlewski?

— Zgadzam się na wszystko — odrzekł zapytany — choć zdaje mi się, że bez tej wyprawy się obejdzie.

— Daj Boże, ale wątpię. Gazety angielskie w ostatnich czasach przynoszą niepokojące wieści o jakichś bandach rozbójniczych, grasujących koło Tunisu. A czy ja wiem, gdzie Wiljam może się obecnie znajdować.

Wtym zastukano do drzwi i wszedł p. Clark, niosąc w ręku list dużego formatu, na jakim zwykle pisują władze.

— Oto mamy odpowiedź wprost z Tunisu. Domysły pańskie niestety sprawdziły się.

— Daj pan list, albo lepiej powiedz mi pan, co on zawiera, bo nie czuję się na siłach przeczytać.

— Policja tunetańska, na żądanie konsulatu angielskiego, zawiadamia nas, że przed 6 tygodniami zatrzymał się w tutejszym hotelu „pod Angielską królową” Anglik, Wiljam Cobarth. Jako przewodnika na wycieczki wynajął sobie Araba Mehdi Mula, używającego bardzo złej opinii. Wyjeżdżał z nim kilkakrotnie w okolicę. Nareszcie wybrał się na dwa dni w drogę i dotąd nie powrócił. Przypuszczają, że Mehdi był członkiem bandy rabusiów, grasującej w okolicy pod wodzą Tihel-Kara i wydał jej Anglika, mającego przy sobie znaczną sumę pieniędzy, które mu zapewne złupiono. Jego zaś samego albo ukryto, aby wymóc na rodzinie znaczniejszy okup, lub może nawet zaprzędano gdzie w niewolę. Cała banda, nabroiwszy tam zawiele, nie czuła się bezpieczną i pociągnęła gdzieś dalej na pustynię. W przypisku do listu dodano, że rzeczy pana Cobartha są w hotelu nieuszkodzone i mogą być odebrane po uregulowaniu rachunku za pobyt ich właściciela.

Podczas tego opowiadania twarz Jamesa zbladła śmiertelnie, ale po chwili otrząsnął się z wrażenia i wydał rozporządzenia do natychmiastowego rozpoczęcia akcji ratunkowej.

— Każ pan załatwić rachunek w Tunisie. Rzeczy niech tam zostaną do mego przybycia. Niechaj policja w dalszym ciągu zbiera wszelkie wiadomości, tyczące mego brata — przyrzecz im pan hojne wynagrodzenie, to doda im bodźca.

Po odejściu pana Clarka James zwrócił się do Starlewskiego.

— Jak prędko, myśli pan, będziemy gotowi z ostatecznymi próbami słonia? smutne me przewidywania sprawdziły się. Tak lekkomyślnie, bez ważnej przyczyny, Wiljam nie zostawiałby nas w niepewności o sobie. Musimy niezwłocznie puścić się w podróż. Czy nie cofnie pan danego mi przyrzeczenia?

— Nigdy nie łamię słowa, cóż dopiero danego w takich okolicznościach — odrzekł inżynier.

— Przyjaźń pańska była mi zawsze drogą, tym bardziej w tych warunkach. Pozwolisz tedy, przyjacielu, że otrzymawszy nowy jej dowód od ciebie, będziemy z sobą nie jak panowie, ale jak rzeczywisci przyjaciele — odpowiedział James, podając mu rękę.

Ten, uściskawszy ją szczerze, rzekł:

— Bardzo chętnie! Radźmy tedy nad przygotowaniem do wyprawy. Dziś jeszcze raz zechciej przyjść do mego mieszkania dla dokonania ostatecznej próby. Musimy być pewni, że maszyna nie narazi nas na utratę życia, bo nasze bezpieczeństwo dopiero zapewni szczęśliwy rezultat poszukiwań.

Następnego dnia, po wybornie udanej próbie, dano rozporządzenie do szybkiego wykonania planów już dawniej przygotowanych.

Pięćdziesięciu ludzi pracowało nad niemi na zmianę dniem i nocą pod osobistym dozorem wynalazców, nic też dziwnego, że po tygodniu wszystkie części osob-

no wykonane, odrobione i dopasowane, gotowe były do złożenia.

Robotnicy nie mogli wyjść z podziwienia, co to znowu za maszynę wymyślili pryncypał z inżynierem, naradzali się, zachodzili w głowę, ale nic odgadnąć nie mogli.

Panowie wynalazcy umyślnie utrudniali im te domysły, aby który nie podchwycił całego projektu i, broń Boże, nie ubiegł ich. Chcieli bowiem wypróbować ostatecznie sami ten drogo kosztujący wynalazek, aby potem dobrze im się opłacił.

W kilkunastu skrzyniach zapakowany transport odstawiono do kolei, poczym w portowym mieście przeładowano go na pierwszy okręt, odchodzący do Afryki.

James uprzedził rodziców, iż w ważnym fabrycznym interesie musi się udać w kilkotygodniową podróż, skąd wracając, odwiedzi ich w Nizzy może jednocześnie z Wiljamem, którego listownie uprzedzi.

Poczym, załatwiwszy sprawę ustanowienia zarządu fabrycznego na czas swej nieobecności, ruszył na tymże okręcie w drogę wraz ze Starlewskim.

Skoro przybyli do Goelety, najbliższego portu od Tunisu, kazali przełożyć paki na wielbłądy i wyruszyli długą karawaną. Wyprzedziwszy ją, obaj przyjaciele wstąpili do Tunisu, aby zasięgnąć nowych wiadomości, a po otrzymaniu ich, skierowali się ku południowej granicy państwa, gdzie kończy się oaza, a zaczyna pustynia Sahara.

Tam rozłożono wielki obóz i z pomocą dość niezręcznych, najętych w Tunisie rzemieślników, zabrano się do zestawiania słońia.

Obóz składał się z kilku namiotów; wkoło nich pasły się wolno puszczane wielbłądy, zapalono ognie bądź to w celu przygotowania pokarmów, bądź do rozgrzewania cyny i nitów, potrzebnych do lutowania słońia. Pracownicy sypiali pod namiotami i odpoczywali

w czasie południowego skwaru, tam były też porozkładane narzędzia potrzebne do roboty.

Składanie szło powoli, bo trudno było kierować ludźmi nieprzygotowanymi; prawie każdą śrubę, każdy gwóźdź musieli przypasować wynalazcy sami. Dlatego składanie zajęło więcej czasu, niż przygotowanie materiałów i robotnicy w 10 dni dopiero ujrzeli gotowego słonia.

Z początku myśleli, że to będzie jakiś dom, wagon, lub beczka, wkońcu dopiero na widok olbrzymiego zwierza wydali okrzyk podziwu.

Nie wiedzieli oni, na co ten słoń ma służyć, ani że będzie mógł dowolnie się poruszać, a znając dziwactwa przyjeżdżających do nich Anglików, mieli go za jedno z takich. Wreszcie byli to ludzie nierozgarnięci, którzy pracowali bezmyślnie, tylko dla zarobku. Pomogli wstawić ciężkie paki do wnętrza maszyny, a po otrzymaniu sowitego wynagrodzenia, rozeszli się do domów.

Z pewnego rodzaju wzruszeniem i obawą oglądali się wynalazcy maszyny, gdy karawana robotników oddalała się od obozowiska, zostawiając ich samych na pastwę przewidywanych przygód. Szereg wielbłądów malał im w oczach i wkońcu znikł zupełnie za pagórkami piaszczystymi.

Podróźni nasi zostali tedy sami na brzegu olbrzymiej pustyni, z jedynym przewodnikiem, kompasem, który miał ich prowadzić śladem bandy rozbójniczej. Ta, według ostatecznych, otrzymanych w Tunisie wskazówek, udała się na południowy zachód.

„H e u r e k a”.

Śledząc dotąd bieg wypadków, nie mieliśmy czasu przyjrzeć się bliżej samej maszynie.

Miała ona doskonały kształt słonia, nadprzyrodzonej wielkości i składała się z wielkich stalowych bla-

ów, zapuszczonych jeden w drugi, co zapewniało niezmierną wytrzymałość. Olbrzymi kadłub opierał się na odpowiednich nogach, które były tak urządzone, że się w kolanach zginały. Cała powierzchnia była gładko wypolerowana, przez co ładząco przypominała szarą barwę skóry słonia, a błyszcząc jak gładka tafla zwierciadła, doskonale odbijała promienie słoneczne, co zmniejszało silne rozpalenie stalowej blachy. W tymże celu wewnątrz wyłożone było grubym torfiastym wojłokiem, jako złym przewodnikiem ciepła, a wreszcie obite perskimi dywanami. Dla utrzymania ciągłego przepływu powietrza, urządzone były dwa wentylatory w uszach słonia i jeden na grzbiecie.

Żeby zapasy żywności się nie psuły, a woda, ten najcenniejszy napój pustyni, była zimna, oraz dla odpowiedniego ochłodzenia powietrza wewnątrz, zabrano ze sobą mieszaninę oziębiającą, z pomocą której miano wedle potrzeby wyrabiać nawet lód sztuczny.

Rozmiary tego słonia, którego nazwano „Heureka”, (przez pamięć na niezapomniane słowo „Heureka” „odkryłem!” które wyrzekł uradowany Archimedes, wykrywając prawo przyrody, iż ciało zanurzone w wodę, traci na wadze tyle, ile waży wypchnięta przez nie woda), były następujące: długość 7 metrów, wysokość grzbietu do ziemi $3\frac{1}{2}$ metra. Przecięcie kadłubu tworzyło elipsę, której długość wynosiła 2 metry, a szerokość przeszło $1\frac{1}{2}$ metra, tak, że na wysokość nóg było drugie $1\frac{1}{2}$ metra.

Stopy tego potworu opatrzone były szerokimi poduszkami gumowemi, aby przy stąpaniu nie zanurzały się głęboko w piasek, co by chód jego utrudniało i zwalniało bieg maszyny. Na prawym boku „Heureki” były spore drzwiczki, które otwierały się na dół, na podobieństwo klapy, tak, że wypadając na zewnątrz, stanowiły zarazem drabinkę do środka, bo na całej szerokości miały poprzybijane szczeble. Drzwi te, na metr wysokie i prawie tyleż szerokie, opuszczając się, nie

dochodziły na pół metra do ziemi, a więc na pierwszy szczebel trzeba było wskoczyć.

Trąba Heureki, spuszczonej teraz ku dołowi, była najniebezpieczniejszą jej bronią, gdyż mieściła w sobie szybkostrzelną armatkę, niosącą pociski na $\frac{1}{2}$ kilometra. W razie potrzeby można było trąbę wprowadzić w kierunku równoległy i obracać nią na lewo i na prawo.

W opancerzonej głowie błyszczały i iskrzyły się oczy, w których, po bliższym przyjrzeniu dały się rozpoznać duże lunety, tam osadzone. Na czole olbrzyma rozpoznać można było sporą stalową tarczę, dającą się zsuwać od środka na dół; pod nią było grube szkło, przez które obserwowano drogę. Głowa zaś słonia służyła za czatownię, w której siadali przyjaciele, na zmianę patrząc przez szybę lub lunety i kierując odpowiednio całą maszyną.

W kłach umieszczono przewodnik lampy łukowej; za którą miały one służyć w razie potrzeby. Wtedy z obu kłów zsuwała się przezroczysta osłona z nowo-wynalezonego elastycznego materiału, która okrywała końce węgla lampy i nie dopuszczała do nich dostępu powietrza.

Wnętrze Heureki robiło wrażenie wspaniałego wagonu sypialnego. Pośrodku przyśrubowany był mały stolik i przy nim trzy krzeselka (trzenie przeznaczono dla Wiljama). Stół służył do rozkładania potrzebnych map, oraz do zastawiania posiłku.

Naprzeciw wejścia była przybita do ściany turecka sofka, służąca za miejsce spoczynku dla jednego z przyjaciół, podczas gdy drugi, w razie gdy Heureka stała, mógł przespać się w wiszącym u wklęsłego sufitu hamaku.

Nad stołem spuszczała się żarowa lampa i łagodnym blaskiem oświetlała wnętrze pokoiku. Koło ścian przymocowane były szafy, w których pochowano sprzęty i narzędzia potrzebne w podróży, a więc barometr,

ciepłomierz, ręczne lunety, strzelby, rewolwery, naboje do nich, mapy, parę książek, aparat fotograficzny, nakrycia stołowe, konieczne naczynia do gotowania, dalej zasoby wina, herbaty, kawy, cukru, buljonu, konserwów mięsnych, biszkoptów, sucharów, kaszy, wędliny, suszonych owoców i t. p. zapasów żywności, mogących starczyć na jakie dwa miesiące. Pod stołem był umieszczony kufer z bielizną i odzieniem. Cały ten pokój miał około 3 metrów długości, a głowa i kark wynosiły około 1 metra. Tam znajdowały się: skład prochu i nabojów do armatki i naczynie z wodą. Po paru schodkach wchodziło się na krzeselko, umieszczone naprzeciw wielkiej szyby i lunet.

Z boku była przywieszona busola z kompasem, tym drogocennym kierownikiem tak w bezbrzeżnej pułstyni, jak i na falach oceanu. Druga lampa oświetlała tę przestrzeń. Tu, za pomocą kółka, zaopatrzonego w rączki, jak ster na statku, można było kierować maszyną i wprowadzać ją w ruch przez naciśnięcie odpowiednich guziczków, puszczających lub zatrzymujących prąd.

Minjaturowy motor, który wytwarzał siłę, jaka ożywiała Heurkę, znajdował się w tylnym trzecim przedziale. Poruszał on drążkami, znajdującymi się pod podłogą całego pomieszczenia w wypukłości brzucha słonia i nadającymi nogom szybkość konia arabskiego. Heureka przewyższała go nawet w zaletach, bo dorównywając mu w biegu, nie ulegała zmęczeniu.

Materiały, których Starlewski potrzebował do odnawiania prądu, były też starannie schowane na prawo, podczas, gdy na lewo stała maleńka kuchenka do przygotowywania jadła, zasilana też elektrycznością.

Te trzy przedziały były oddzielone cienkimi przepierzeniami, o drzwiczkach zasuwających się na bok, podobnie jak u tramwajów, aby zajmowały jak najmniej miejsca i nie robiły hałasu.

Skoro karawana, której James powierzył listy do rodziców i Anglii, zniknęła im z oczu w zmierzchu wieczornym, podróżni spuścili drzwiczki Heureki i weszli do wnętrza, chcąc wypocząć pierwszej nocy, aby nazajutrz o wschodzie słońca udać się w mozolną i niebezpieczną drogę. Nad nieprzewidzianymi wypadkami postanowili czuwać kolejno.

James zachęcał do spoczynku Starlewskiego, a ten jego nawzajem, w końcu ten ostatni zwyciężył i James wszedł do obserwatorium na stanowisko.

Przygody w pustyni.

Trudno było Jamesowi zasnąć, raz z powodu niczym nie przerywanej ciszy, od której odwykł podczas podróży i pobytu w obozie, po drugie, z powodu dusznego powietrza, pomimo że wszystkie trzy wentylatory były otwarte. Dokuczało mu też niezmiernie gorąco, które tu panowało, podczas gdy temperatura na dworze ochłodziła się, jak zwykle bywa w pustyni po zachodzie słońca.

Chmury, które, gdy się wybieramy na jakąś dłuższą wycieczkę, zwykle sprawiają wielkie niezadowolenie, są rzeczywiście naszymi łaskodawcami, nie tylko dlatego, że od czasu do czasu darzą nas dobroczynnym deszczem, ale jeszcze z powodu, który tu objaśnimy. W jasną noc zwykle bywa chłodniej niż w pochmurną, zwłaszcza można tę różnicę zauważyć w zimie.

Przyczyna tego zjawiska polega na tym, że ziemia rozgrzana promieniami słońca, po jego zachodzie zaczyna stygnąć, jak piec, ogrzany ciepłem ognia, to jest ciepło jej unosi się w powietrze. Chmury, złożone z pary, która jest złym przewodnikiem ciepła, nie przepuszczają tego ciepła dalej w przestworza, i tym spo-

scobem ono uwięzione błąka się nad ziemią i ogrzewa stykające się z nią warstwy powietrza.

Przeciwnie się dzieje, gdy niebo jest jasne, bez chmurki, wtedy przeszkoda nie istnieje i cały zasób ciepła z ziemi ulatnia się szybko w górę, przyczym temperatura powietrza spada. Gdy dzień jest pochmurny, powietrze nad ziemią bywa chłodne, bo chmury nie przepuszczają doń ciepła słonecznego.

Zjawisko to zachodzi na wielką skalę w pustyni Saharze, gdzie, z powodu braku wody, chmury wcale się nie tworzą, a zatem niebo jest zawsze czyste. Rozpalony w dzień piasek po zachodzie słońca stygnie z niezmierną szybkością, a różnica temperatury dnia i nocy da się wymierzyć prostym sposobem. Podczas, gdy w dzień jajko, położone na piasku, zetnie się, jak ugotowane, zostawione na noc, ścina się od zimna.

Dlatego też podróżni, udający się w drogę z karawaną i zmuszeni przepędzać noc na otwartym powietrzu, zaopatrują się zwykle w grube wełniane płaszcze, takie, jakie noszą koczujący Arabowie, zwani Beduinami, od których i płaszcze te otrzymały nazwę beduin.

Okrywszy się taką beduiną, podróżny nie zdejmuje jej z siebie, bo w dzień zasłania go ona od palących promieni słońca, w nocy zaś ochrania przed zimnem, nie przepuszczając ciepła, wydzielanego z własnego ciała. A więc płaszcze są względem człowieka tym, czym chmury względem ziemi.

Wiedział o tym dobrze James i podczas gdy Starlewski w jednej tylko bieliźnie czuwał na stanowisku, ten, przewracając się z boku na bok i nie mogąc zasnąć, postanowił drzwi otworzyć, aby wpuścić do wnętrza trochę orzeźwiającego powietrza, bo wentylatory działały jakoś opieszale.

Już nawet podniósł się w tym celu, gdy usłyszał w pobliżu przeciągłe, przyciszone wycie. Uchylił tedy drzwi do obserwatorium i spytał kolegi:

— Co też to być może?

— Ach, bądź spokojny, to tylko hijeny, szukające żeru, zwietrzyły nas i zebrały się tu w przewidywaniu uczty. Widzę, że nie śpisz. Noc jest niezwykle jasna, powietrze zupełnie czyste. Nigdy takie nie bywa w waszej zamglonej Anglii. Księżyc w pełni i gwiazdy wspaniale wyglądają. Z całą przyjemnością je obserwuję.

— Prawda, jest to zachwycający widok, ale podczas gdy oczy nim się napawają, uszy drażni to rozdzierające, wstrętne wycie.

— Ach, jak to znać w tobie melomana, stałego słuchacza najlepszych koncertów w stolicy. Ja nie jestem tak muzykalny, obojętne są więc dla mnie głosy tych drapieżników, gdy jestem przed nimi bezpiecznie ukryty. Ale jeżeli chcesz, to przepędzę je zaraz, poświecę im jeszcze na drogę.

Rzekszy to, Starlewski nacisnął odpowiedni guziczek, zamieniający kły słonia w lampę łukową. Patrząc przez szybę, przyjaciele śmieli się do rozpuku, gdy, przerażone tym niespodziewanym światłem hijeny, opuściwszy łby ku ziemi i wtuliwszy ogony, umykały co sił starczyło, a za nimi puścili się towarzyszące im zdaleka szakale, które dotąd stały na uboczu, czekając na resztki zwykle pozostawianej dla nich biesiady.

Załatwiwszy się w ten sposób z nieproszonemi gośćmi, przyjaciele ułożyli się na spoczynek, który im też do rana nic szczególnego nie przerwało.

Pokrzepieni na siłach dobroczynnym snem, zabrali się nazajutrz do roboty. Starlewski prowadził słonia, który szybko miarowym krokiem postępował ku południowi, powodując swym ruchem słabe lecz stałe kołysanie. Dobrze, że obydwaj, przywykli do podróżowania okretem, nie podlegali morskiej chorobie.

James, zbadawszy za pomocą mapy i busoli, gdzie się znajdują, i oznaczywszy punkt ten na mapie, zabrał się do przygotowania śniadania.

Zagotował na kuchence wody, zaparzył herbatę,

postawił na stole wędlinę, ser, suchary, świeże daktyle i wezwał kolegę na posiłek.

— Posuwamy się z szybkością pięciu kilometrów na godzinę, to wcale nieźle na początek. Mam nadzieję, że gdy się wprawimy: koń i furman, t. j. Heureka i ja, pojedziemy jeszcze prędzej—rozgałał się inżynier.—Nie-wymownie rad jestem z wyniku tej ostatecznej próby; jest ona dobrą wróżbą w odnalezieniu p. Wiljama.

— Oby się twoje słowa sprawdziły, abyśmy nie przybyli za późno.

— Dotąd wiodło się nam znakomicie, bądźmy tedy dobrej myśli, bo zmartwienie osłabia energję, której my dużo potrzebujemy.

Dwa następne dni przeszły zupełnie spokojnie. Jednostajne zajęcie i jednostajne kołysanie się Heureki przerywane były tylko kilka razy dziennie przygotowywaniem pożywienia, które James Cobarth, zajmujący obecnie godność nadwornego kucharza starał się o ile mógł urozmaicać, czerpiąc z podróżnej spiżarni.

Do wszystkich nieprzyjemnych warunków podróży przyjaciele już przywykli, najbardziej jednak przykrzył im się monotony krajobraz bezbrzeżnej, bezdusznej pustyni o kolorycie jasno szafirowego nieba i szarożółtawego piasku. Oczy tak szybko nudziły się tym widokiem, że przyjaciele co godzinę prawie zmieniać się musieli przy sterze.

Bardzo też męczącym było dla nich przymusowy brak ruchu, ale na to poradzili sobie. Co rano o wschodzie słońca i wieczorem po zachodzie spuszczały drzewiczki i wyskakiwali na ziemię, a jako zapaleni sportsmeni grali po pół godziny w palanta lub piłkę nożną. W czasie tych rozrywek nie zapominali nigdy mieć na wypadek pod ręką broni w postaci strzelb i myśliwskich nożów.

Piątego dnia James, siedząc w obserwatorium, spostrzegł na widnokręgu stado antylop. Była to pierwsza spotkana zwierzyna w pustyni. Zobaczywszy ją, wydał

okrzyk tryumfu. Zaintrygowany Starlewski, który coś poprawiał w przedziale maszyn, pośpieszył dowiedzieć się, co się stało. Obaj mieli zamiłowanie w myśliwstwie, polowanie bywało najulubieńszą ich rozrywką, nie też dziwnego, że nie mogli się oprzeć urokowi zwierzyny i porozumiawszy się spojrzeniem, skierowali Heurekę w bok. Przysunawszy się możliwie blisko, aby nie spłoszyć stada, przerzucili przez ramię strzelby i wyskoczyli na ziemię. Poczym ostrożnie zbliżyli się na strzał, a wzięwszy na cel, równocześnie wypalili. Strwożone zwierzątka rzuciły się w bok i za chwilę zniknęły w oddali; tylko jedna została na placu boju.

— Trafiłem! — zawołał James.

— Trafiłem! — rzekł jednocześnie Starlewski.

— Jakto?

— Jakto? jedną obaj?

Po bliższym zbadaniu zabitej zwierzyny okazało się, że obaj wypadkowo wzięli na cel tę samą antylopę i obaj rzeczywiście trafili: jeden w głowę, drugi pod łopatkę. Związawszy nogi zwierzęcia, zawiesili je na lufie strzelby i, założywszy ją jak drążek na ramiona, przynieśli do Heureki.

— Ja teraz idę do swej roboty, a ty zajmij się oprawieniem zwierzyny — rzekł Starlewski.

— Zgoda, już to widzę nie tylko kucharzem, ale i rzeźnikiem wypada mi zostać — odpowiedział, śmiejąc się, Cobarth.

Zręcznie, jak nie na inżyniera przystało, zdjął James z antylopy skórę. Potym ostrym toporkiem wyrąbał z niej cąber i szynki, jako najlepsze kaski; poczym wyjął cienką, lecz delikatną pośdwicę i postanowił zabrać się do ugotowania pysznego rosółu ze świeżego mięsa, z dodatkiem suszonej włoszczyzny, którą miał w zapasach spiżarnianych.

Właśnie wszedł do Heureki, aby nastawić rosół, gdy z oddziału maszyn wyszedł zafrasowany Starlewski.

— Wyobraź sobie, Heureka odmawia posłuszeństwa. Już od rana zauważyłem jakąś ociężałość ruchu i dlatego prosiłem cię o zastępstwo. Gdy wyruszyliśmy na to polowanie, szukałem źródła zepsucia. Myślałem, że to fraszka, która się zaraz naprawi, tymczasem męczę się oto przeszło godzinę i jestem jak w lesie. Wyczerpałem się moralnie tem bezowocnem poszukiwaniem. Muszę trochę odpocząć i znowu zacznę od początku.

— Ach, może nie jest tak źle, jak przypuszczasz. Zaraz ci pomogę, tylko nastawię rosół, będzie on najlepszym na pokrzepienie sił lekarstwem — może wspólnymi siłami prędzej co zrobimy.

Mówiąc to, James zalał mięso wodą i postawił na kuchni.

— Zapomniałeś, że gdy Heureka nieczynna, to i kuchnia nie ma opału — ostrzegł go inżynier.

— Prawda. Cóż będzie z rosółem? — spytał James, pochłonięty wykonaniem swego obowiązku kuchacza. — Gdybyśmy mieli trochę drzewa lub choćby suchej trawy, roznieciłbym ogień na dworze. Ale prawda, że nie miałbym czasu szumować go, bo muszę tobie pomagać.

— Zapewne, tymbardziej, że wprowadzenie w ruch słońca jest sto razy chyba ważniejsze od najlepszego rosółu — rzekł inżynier rozgoryczony.

— Rozumie się, ale podtrzymanie sił naszych jest jeszcze ważniejsze i dlatego ja stanowczo głosuję za obiadem. Ponieważ niema sposobu ugotowania rosółu z powodu braku paliwa — poprzestanę przynajmniej na przygotowaniu pieczeni z cąbra.

— Bez ognia? — zadrwił Starlewski.

— To moja rzecz — odciął Cobarth. — Zapomniałeś, że wziąłem z sobą przyrząd do pieczenia na słońcu.

Mówiąc to, wyjął z szafy blaszaną skrzynkę, której wewnętrzne ściany były chropowate i mocno okopcone

aby pochłaniały jak najwięcej promieni słonecznych, dochodzących z zewnątrz przez wypukłe, grube szkło, które potęgowało ich temperaturę. James położył kawałek posolonego cąbra na czarną, blaszaną patelkę, wstawił w przyrząd i pokropiłszy go oliwą, zamknął wieko. Poczym ustawił to na grzbiecie Heureka, gdzie właśnie była silna operacja słoneczna. Załatwiwszy się z tym, podążył do przyjaciela, mruczając do siebie:

— Sądzę, że pan Starlewski będzie lepiej usposobiony, gdy skosztuje świeżo upieczonego mięsa.

Ale nasz inżynier już nabrał lepszego humoru, gdyż odnalazł nareszcie punkt uszkodzony i choć reparacja, według niego, miała zająć dużo czasu, pocieszał się, że maszyna da się doprowadzić do pierwotnego stanu.

Napiwszy się tymczasem trochę wina, przyjaciele przegryźli go sucharami, poczym zabrali się z zapałem do roboty. Tak byli zajęci, z takim pośpiechem pracowali do zachodu słońca, że James zapomniał wczas dojrzeć w słonecznej kuchence pieczeni, która z jednej strony całkiem się zwęgliła, a następnie zupełnie wystygła.

Nie mniej jednak świeże mięso smakowało głodnym wybornie, zwłaszcza popite gorącym buljonem, który się ugotował na kuchni, już funkcjonującej.

Zażegnawszy grożące niebezpieczeństwo przymusowego spoczynku, przyjaciele odetchnęli spokojniej i zaczęli pilnie badać, jak daleko posunęli się w pustyni, gdy okazał się nowy kłopot.

Niewielki zapas wody, jaki z sobą zabrali, miał im starczyć na tydzień, w ciągu którego powinni byli dojechać do najbliższej oazy i zaopatrzyć się w świeżą wodę. Tymczasem dzień strawiony na reparacji spowodował opóźnienie, a w dodatku James, nabierając wody na ów nieugotowany rosół, zaambarasowany zepsuciem maszyny, zapomniał przykryć naczynie, które zamykało się hermetycznie, aby woda nie parowała.

Starlewski zaś, pochłonięty reparacją, zapomniał dolać do wody mieszaniny oziębiającej, która, obniżając temperaturę, powstrzymywała plyn od ulatniania się. Wskutek tego znaczna część wody wyparowała i znajomi nasi siódmego dnia podróży mieli do picia tylko zapasy wina i koniaku, które bynajmniej nie gasiły szalonego pragnienia.

Drećzeni wzmagajacem się pragnieniem, Cobarth i Starlewski spochmurnieli i zamilkli. Kto wie, czy nie przysłoby do nieporozumienia i wymówek między niemi, gdyby nie to, że obaj jednakowo prawie zawinili wspólną nieogłędnością, powodującą wyparowanie wody.

Noc przeszła niespokojnie, bo pragnienie, a jeszcze bardziej obawa pogorszenia tego stanu spać im nie dawała.

Wyobrażali sobie cierpienia, jakich opisy czytali, a na jakie sami będą narażeni, jeżeli jutro wody nie znajdą.

Skoro tylko słońce blaskiem swym pochłonoło promienie księżyca, by objąć władzę nad zbliżającym się dniem, Heureka wyruszyła w dalszą drogę, pędzana doskonale już działającą maszyną. Droga ubiegała im szybko, miła mijala za milą. Chwilami zrywał się silny wicher, porywał fale piasku, zakręcał niemi w powietrzu i ciskał je w kolosalnego słońia.

Świst tego wiatru do ostateczności rozdrażnił podróżnych naszych, już i tak wyczerpanych, tymbardziej, że do pragnienia przybywało nowe cierpienie: obawa samumu, który był jeszcze groźniejszy.

Samum — szalony wicher, pędzący z niezwykłą szybkością, osusza i tak suche powietrze Sahary, przyprowadzając podróżnych o straszne bóle, gdyż wysuszona skóra pęka, a unoszący się w powietrzu sypki rozpalony piach przenika najgęściejszą tkaninę, przedostaje się do ciała, a gdzie padnie, sprawia ranę, podobną do oparzelizny. Biada karawanie, którą burza taka na-

padnie w drodze! Niema dla niej ratunku ani ucieczki. Masa piasku, unosząca się w postaci trąb olbrzymich, opada na obozujących i grzebie ich żywcem, tworząc wysoką mogiłę. Następne potym wichry, rozdmuchują nieraz te zasy i odkrywają zbielełe już kości poprzednio zagrzebanych.

Spotkanie z Arabem.

Już trzy godziny podróży nasi posuwali się wśród poświstu wichru, gdy, skuleni na swych stanowiskach, usłyszeli jakiś głuchy ryk. Ryk ten powtarzał się stopniowo coraz wyraźniej.

Podnieceni nowym niebezpieczeństwem, poskoczyli do lunet; z ich pomocą przekonali się o przyczynie tego hałasu.

Jakby ludzie silni i zdrowi, chwycili strzelby. Starlewski zatrzymał prąd i obaj wyskoczyli na ziemię.

Przed oczami ich rozgrywała się straszna scena. W odległości 300 metrów ujrzeni skulone, przyczajone zwierzę, które, rycząc groźnie, gotowało się do skoku. Poznali w nim lwa, który, zapewne powodowany głodem, wyszukał sobie ofiarę w osobie Araba, śpieszącego na swym wiernym wielbłądzie. Nagle lew skoczył... Szybkim cofnięciem się Arab uniknął wroga, i jednocześnie prawie strzelił z długiej fuzji, umykając na wielbłądzie.

Widocznie kula chybiła, bo lew pogonił za nim.

Naraz padły dwa strzały jeden po drugim. To nasi przyjaciele wzięli na cel dziką bestję. Lew ryknął groźnie i zwrócił się przeciw nowym przeciwnikom. Strzeliwszy raz jeszcze na chybił-trafił, podróżni dopadli Heureka i wskoczyli do wnętrza, zatraskując drzwiczki za sobą.

Ranny lew podążał za nimi i wkrótce ich dopadł, a nie mogąc dosięgnąć, rzucił się zajądło na Heureka, którą wziął widocznie za prawdziwego słonia.

Ale źle się wybrał, bo obecny już w obserwatorium Starlewski nacisnął guzik, który łączył motor z powierzchnią słonia i nieszczęsny lew, rażony elektrycznością, z żalosnym mručeniem runął na ziemię.

Wtedy Cobarth z przyjacielem wyszli ze słonia i, przekonawszy się, że lew nie żyje, pośpieszyli ku Arabowi, który stał jak oszołomiony wrażeniami dopiero co doznanemi.

Cobarth zawołał na niego po angielsku, ale ten wstrząsnął głową, że nie rozumie.

Wtenczas Starlewski krzyknął nań po polsku:

— Chodź-no tu, ty gamoniu, czyś wrósł w ziemię?—przytem kiwał ręką.

Widząc, że Arab zrozumiał jego giesty i powoli się do nich zbliża, a zarazem wprawiony w dobry humor szczęśliwym spotkaniem i zmianą pogody, gdyż wiatr powoli ustawał, zwrócił się ze śmiechem do Jamesa:

— Widzisz, jak nasz język jest w świecie znany, a wy, zarozumialcy, myślicie, że tylko po waszemu wszyscy powinni szwargotać.

— Bardzo pięknie. Porozumiejże się z nim i dalej — roześmiał się Anglik i zaczął przemawiać do Araba po francusku.

Okazało się, iż Arab znał cokolwiek ten język, więc przy pomocy migów porozumiano się nareszcie. Przedewszystkiem wypytano o odległość do najbliższej oazy, która, jak się okazało, leżała stąd niedaleko.

Arab dziękował za uratowanie życia, a zrozumiawszy, że podróżni są spragnieni, ofiarował im resztę swego zapasu wody, który miał w skórzanym worku, zawieszonym u siodła. Rozumie się, że woda była ciepła i niesmaczna, ale miała tę zaletę, że była „mokra”, więc nasi podróżni napili się do syta.

Pokrzepiwszy się wodą, zaprosili nawzajem Araba na obiad do siebie, ale ten nie śmiał się zbliżyć do Heureki, obawiając się widocznie, aby go nie spotkał los zwierzęcia, w jego oczach uśmierconego.

— Trzeba go oswoić z naszym słoniem, bo gdy ruszymy z miejsca, przewodnik gotów nam umknąć ze strachu.

— Słuchaj, przyjacielu, to jest taki zaczarowany słoń, w którym można mieszkać i płynąć nim, jak okrętem po pustyni — zaczął objaśniać Cobarth.

— Czegóż tak zmyślasz niemiłosiernie? — przerwał mu po angielsku inżynier.

— Proszę cię, jest to najprzystępniejsza forma, jaką zabobonny Arab zrozumie; jeśli chcesz, palnij mu prelekcję o elektryczności i motorach, poruszanych tą siłą. Zobaczysz, czy dojdiesz do lepszego rezultatu, niżeli ja.

Długo trwało, zanim James zdołał zapewnić Araba, że nic mu się złego nie stanie, przekonał go wreszcie tym, że gdyby mu źle życzyli, byłiby pozwolili, ażeby lew go rozszarpał. Ale zdaje się, że najlepszym argumentem był srebrny pieniądz, który mu Starlewski pokazał i obiecał dać, skoro się odważy wejść do Heureki.

Potrawa z antylopy, przyrządzona z ryżem i szklaną herbaty, dokonały reszty i ośmieliły Araba o tyle, że zdecydował się zaczarowanego słonia poprzedać na wielbłądzie i poprowadzić ich do upragnionej oazy.

Nad wieczorem przybyli tam szczęśliwie, a przy wieczerzy, którą popijali świeżą wodą, wybadali Araba, czy nie wie czego o bandzie Tehel-Kara.

— Ależ naturalnie, nie tylko słyszałem o niej, ale przed dwoma dniami szczęśliwie uniknąłem z nią spotkania. Właśnie dojeżdżałem do oazy, gdzie zamierzałem odpocząć, gdym ujrzał człowieka szybko stamtąd biegnącego. Był to mój współwyznawca, który objaśnił mi, iż tam nocuje banda Tehel-Kary i właśnie on od niego ucieka.

Przerażony, wziąłem go na wielbłąda i pomknąłem w przeciwną stronę. Gdy sądziliśmy, że już jesteśmy wolni od pogoni, uciekający opowiedział mi szczegóły swej podróży.

— Byłem najęty do pomocy i poganiania wielbłądów. Oprócz masy towarów, Tehel-Kara miał kilku jeńców, których zamierzał w Timbuktu zamienić na kość słoniową. Mnie wraz z kilku innymi wyznaczono straż nad nimi. Jako biedny, musiałem robić, co mi kazano. Ale w drodze jeden z więźniów, jedyny, który umiał rozmówić się po naszemu, dał mi 2 sztuki złota i obiecał wypłacić 1000 podobnych, jeśli tę kartę oddam angielskiemu konsulowi w Tunisie. Tysiąc, to dla mnie majątek, za który zaryzykowałem życie. Uciekający prosił mię, abym go podwiózł do najbliższej oazy i dał mi za to ten pieniądz.

— Zdaje mi się, że jesteśmy na dobrej drodze — rzekł Starlewski.

— Ale gdzież pewnośc, że to był właśnie Wiljam? czy dopędzimy ich wczas jeszcze?

Nie zwlekając chwili, nasi przyjaciele puścili się w dalszą drogę.

Wyzwolenie.

Za dobrem wynagrodzeniem Arab zgodził się towarzyszyć w pogoni za Wiljame, ale musieli kupić od niego wielbłąda, aby go puścić wolno w oazie, bo przeszkadzałby im w pośpiesznym marszu Heureki.

Trzeciego dnia nad wieczorem ujrzano przez lunety na widnokręgu czerniący się sznur karawany, złożonej z wielbłądów i koni.

— Musimy dać na nią baczenie.

— Nie spuścimy jej z oka...

Już się dobrze zmierzchało; karawana zwolniła biegu, wreszcie zatrzymała się zupełnie.

James nie ruszał się od lunety. Przy drugiej posadzono Araba.

Powoli ludzie karawany zaczęli schodzić z wielbłądów i koni i rozkładać się obozem.

— Zdaje się, że będą tu nocować. Można będzie podkraść się do nich i więźnia uwolnić — radził Arab.

Tymczasem poganiacze rozkiełznali zwierzęta, poskładali pakunki w półkole, zabezpieczając w ten sposób podróżnych podczas snu od możliwego napadu dzikich zwierząt. Gdzie paki dokoła nie starczyły, na otwartym miejscu, rozniecili ognisko, przy którym zaczęli gotować wieczerzę. W samym środku rozpięto duży namiot, do którego wszedł wysokiego wzrostu mężczyzna w otoczeniu kilku innych. Po chwili wprowadzono też tam kilkunastu ludzi w europejskim odzieniu, zupełnie bezbronnych, podczas gdy wszyscy pozostali byli dobrze uzbrojeni.

— To muszą być więźniowie — tłumaczył Arab.

— Boże, czy tylko jest między niemi mój ukochany brat. Spójrz, przyjacielu, bo mnie oczy odmawiają posłuszeństwa — zwrócił się James do Starlewskiego.

— Zaczekajmy tu, aż zasną, wtedy napadniemy na nich niespodzianie — radził muzułmanin.

— Może rada naszego towarzysza jest praktyczna, ale ja mam wstręt do napadania bezbronnych — rzekł Starlewski. — Prawda, że oni liczebnie nas przewyższają, ale my władamy straszną bronią. Cóż ty na to, Jamesie?

— Zostawiam ci zupełną swobodę działania. Rozkazy będę wypełniał ślepo, lecz obmyślić planu napadu i kierować nim nie czuję się na sile. Zanadto myśl moja zajęta jest bratem — odrzekł Cobarth.

Nie czekając tedy nocy, inżynier puścił maszynę przyspieszonym krokiem i wkrótce zbliżył się o tyle,

że zwrócił na siebie uwagę obozujących. Czas jakiś rozbójnicy przypuszczali, że to słoń prawdziwy i podczas gdy jedni przyglądali mu się bezmyślnie, inni przygotowywali się naprędce do polowania na niego.

Gdy jednak Heureka zbliżyła się na strzał karabinowy, nastąpiło w obozie jakieś powątpiewanie co do zdążającego ku nim zwierza. A gdy inżynier oświetlił nagle pole bitwy lampą łukową, ukrytą w kłach słonia, podziw i przerażenie między obozującymi nie miało granic.

Zaczęli biegać bez celu i wkońcu zbili się w kupę przy namiocie; hałas stamtąd dolatywał przez wentylatory do Heureki. Wreszcie ukazał się wódz.

Gdy się Heureka zatrzymała, wszyscy rozbójnicy na komendę dali ognia, ale kule ich ześlizgiwały się z powierzchni słonia. Widząc tę bezskuteczność strzelaniny, pośpieszyli naprzód, chcąc ją zdobyć szturmem. Starlewskiemu żal było tej masy ludzi złych, ale ciemnych, dążących na śmierć niechybną. Chcąc ich tedy odstraszyć i zarazem dać poznać swą siłę, aby ich skłonić do pokojowego załatwienia sprawy, wystrzelił z trąby armaty. Z przyczyny bliskości celu wystrzał spowodował straszne spustoszenie w zbitej gromadzie, co zamiast odstraszyć, jeszcze bardziej rozwścieczyło napastników. Z większą jeszcze zaciętością rzucili się na maszynę.

Wtedy, w obronie życia swego, towarzyszków i całości Heureki, inżynier puścił prąd na powierzchnię pancerza.

Natychmiast kilkunastu Arabów, którzy tylko dotknęli słonia, padło na ziemię, jedni zabici na śmierć, inni, a między niemi wódz ich, zostali tylko porażeni.

Na ten widok między oblegającymi nastąpiło zamieszanie nie do opisania. Przytomniejsi dopadali koni i wielbłądów i cwałowali w dal, inni, mniej odważni, padali na twarz, błagając o łaskę — niektórzy zaś, naj-

bardziej tchórzliwi, stracili całkiem przytomność i pochowali się między pakunki.

Rozumie się, że o więźniach zapomniano, bo straż pilnująca ich rozbiegła się zaraz z początku napadu.

Ci skorzystali z tego, rozpęтали się wzajemnie i postanowili stanowczo stanąć po stronie nieprzyjaciół swych dręczycieli.

Rozwiązywanie pęt trwało dość długo, więźniowie więc zdążyli wyjść z namiotu dopiero wtedy, gdy nasi przyjaciele opuścili Heurekę i zaczęli robić porządek między spłoszonymi rabusiami.

Z ich pomocą Arab przedewszystkiem spętał i wrzucił do Heureki ich wodza, bo wiedział, że policja tuniska grubą nazraczyła zań nagrodę.

Cobarth zaś przeskakiwał przez paki i ludzi i biegł w stronę namiotu, gdzie padł w objęcia wychodzącego stamtąd Wiljama.

— Heureka, Heureka! — wołał, ujrzawszy to, Starlewski, a wszyscy więźniowie jednym głosem krzyknęli:

— Niech żyją nasi wybawcy!

W krótkich słowach objaśnili pasażerowie Heureka uwolnionym Europejczykom, skąd się tu wzięli i w jakim celu przybyli, a ci nawzajem przedstawili się im i opowiedzieli smutne dzieje swej niewoli.

— Teraz, szanowni panowie, wzywam was na radę wojenną, co zrobić z naszymi obywatelami wrogami i od czego zacząć przygotowania do powrotu — odezwał się Starlewski.

Po chwili uradzono, aby przyrzekającym poprawę i błagającym o łaskę Arabom, którzy po większej części stanowili płatną służbę Tehel-Kara, przebaczyć, pod warunkiem, że dopomogą im do zebrania ładunków i odstawią je, na pozostałych wielbłądach, do granic Tunisu. Ze zrabowanych rzeczy każdy z więźniów miał odebrać swoje, resztę zaś postanowiono złożyć w konsulacie angielskim do odbioru zgłaszających się właścicieli.

Związanego zaś herszta postanowiono wydać odpowiedniej władzy, dla przykładowego ukarania za liczne zbrodnie, jakich się dopuścił.

Potym przyjaciele postanowili, że Heureka zostanie rozebrana i przewieziona do Anglii, gdzie Cobarth ze Starlewskim zrobią starania o opatentowanie swego wynalazku, który ma być w pewnym kierunku wyży-skany. James upierał się za tym, aby go zużyć jako broni wojennej, Wiljam zaś, zacięty wróg wojen, lecz miłośnik podróży, obstawał przy tem, aby zrobić zeń nowy środek lokomocji.

Na jego stronę przechylał się i Starlewski, choć myśl usłużenia słabym prześladowanym narodom nęciła go także.

Dostawszy się do pierwszej telegraficznej stacji, obaj bracia wysłali pocieszającą depeszę do rodziców, że się spotkali, i że w ciągu dni dziesięciu ich odwiedzą.



SPIS RZECZY

	str.
Rodzina fabrykanta	3
Zmartwienie Jamesa	7
Narada nad wyprawą.	10
„Heureka”	15
Przygody w pustyni	18
Spotkanie z Arabem	26
Wyzwolenie	29
